

№ 2. Rok XVII.

Dnia 28 Grudnia 1896 (9 Stycznia 1897) r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Trzej królowie, monarchowie,
Wschodnie kraje opuszczają,

Serc ofiary, z wielą dary,
Tobie Panie oddają.

(Stara kolęda).

St. Kramsztyk.

POD ŚNIEGIEM I POD LODEM.

(Dalszy ciąg)

Chociażby wszakże śnieg słabo tylko ziemię przypruszył, już cienka ta powłoka biała wpływ dobroczynny na przechowywanie ciepła wywiera, już od zbytniego oziębienia powierzchni ziemi strzeże. Nie wszystkie bowiem ciała jednakowo szybko stygną, nie wszystkie są w jednakiej mierze do wysyłania, do utraty ciepła uzdolnione. Zdolność zaś ta, czyli własność szybszego lub powolniejszego stygnięcia ciał od różnych zależy warunków, przedewszystkiem zaś od ich barwy.

Dwa naczynia jednakowe napełnij wodą wrzącą i jedno z nich owiń serwetą białą, drugie zaś czarnem sukniem, a dostrzeżesz łatwo, że w pierwszym wodą dłużej ciepłą pozostanie. Osłona biała lepiej zatem od utraty ciepła chroni, aniżeli czarna. — Nie zraziłbym się bynajmniej, gdyby mi kto zarzucił, że doświadczenie to stanowczo przekonywajacem nie jest, serweta bowiem jest tkaniną lnianą, sukno zaś wełnianą; być więc może, że wywiera tu wpływ nietylko barwa, ale i sam materiał osłony. Uwaga słuszna zupełnie; owiń więc naczynie jedno sukniem białym, a drugie czarnem; lub też, jeżeli takich płatków sukniennych nie posiadasz, choćby papierem białym i czarnym. Niech to jednak nie będzie lśniący, wygładzony papier czarny, jaki w sklepach kupujemy na okładki kajetów; do doświadczenia tego najlepiej będzie papier biały uczernić węglem, albo też okopcić sadzą, przesuwając go ostrożnie ponad płomieniem świecy. Jeżeli więc w ten sposób usuniemy poprzednią wątpliwość i przekonamy się znowu, że pod osłoną czarną woda gorąca rychlej zastygnie będziemy już mogli twierdzić stanowczo, że barwa czarna stygnięciu sprzyja, że ciała czarne mają w wyższej mierze, aniżeli białe, zdolność utraty, wysyłania ciepła. Dla tego to czajniki i maszynki do kawy mają powierzchnię jasną i gładką, rury u pieców powierzchnię czarną i chropawą.

Pojmujemy więc teraz, dlaczego cienka nawet powłoka śnieżna korzystną jest dla gruntu ochroną od utraty ciepła. Dzieje się to zupełnie tak samo, jak w piecach naszych, zbudowanych z białych kafli. Gdy w piecu takim napalimy i drzwiczki już zamkniemy, dosyć długo jeszcze piec pozostaje zimny, od rozżarzonych bowiem węgla albo od drzewa płonącego ogrzewa się najpierwej powierzchnia wewnętrzna ścian pieca i potrzeba pewnego czasu, by ciepło przez ściany przedrzeć się mogło aż do powierzchni zewnętrznej. Po takim zaś rozgrzaniu piec stygnie nader powolnie; ze zdumieniem dostrzegamy często, że następnego nawet po napaleniu dnia dostatecznie jeszcze jest ciepły. Dla białej bowiem swej barwy piec rozgrzany stopniowo tylko, powolnie ciepło swe traci i na pokój je rozsyła, skąd znowu grube ściany i okna podwójne uchodzą mu szybko nie pozwalają. — Jeżeli zaś idzie o ogrzanie izby, w której ludzie nie przebywają przez dzień cały, ale zbierają się w niej tylko na czas krótki, na godzinę, dla narad, na prelekcję, lub w jakimkolwiek innym celu, w takim razie korzystniejszym będzie piec żelazny; metalowa bowiem jego ściana, jako przewodnik dobry, rychło się rozgrzewa, a czarna i chropawa jej powierzchnia szybko ciepło na wszystkie strony rozsyła. Po rozpaleniu pieca izba natychmiast się rozgrzewa, ale też ledwo ognisko w nim wygaśnie, po niedługiej chwili możemy go już śmiało dotknąć — nie sparzy nas bynajmniej.

W piecu wytwarzamy ciepło przez spalenie węgla lub drzewa; ziemię obdarzyły ciepłem promienie, które jej słońce w ciągu lata nadsyłało. Ale śnieg działa tak samo jak białe kafle pieca. Pod białą, lśniącą jego powierzchnią nasiona przechowują swe życie bezpieczniejszą, aniżeli w czarnym chropawym, przez śnieg nieosłoniętym gruncie.

Skoro więc uspokoiłiśmy się już dostatecznie o los ziarn w ziemi złożonych, zwrócimy się do drugiego naszego pytania,

by zbadać warunki, które mieszkańcom wód pozwalają życie utrzymać w zakrzepłych, zlodowaciałych rzekach, jeziorach i stawach. Ocalenie swe zawdzięczają mieszkańcy wód znowu pewnym objawom, pewnym niezłomnym prawom natury, które nam poznać należy.

Każdy zapewne słyszał już o tem, że pod wpływem ciepła wszelkie ciała rozszerzają się, czyli objętość swą powiększają. Gdy ciało jakiegokolwiek ogrzewamy, rozszerza się, kurczy się zaś, gdy je oziębiamy. W ogólności — ze wzrostem temperatury wzmaga się objętość ciał, z obniżaniem się zaś temperatury objętość maleje. Kto o tem nie wie jeszcze, niech się przyjrzy żelazku do prasowania: Dusza, gdy jest zimna, swobodnie się w niem porusza; skoro ją rozpalimy, wypełnia całą przestrzeń.

Łatwiej wszakże przekonywa nas o tej zasadzie termometr. Znamy go wszyscy, wszyscy posiadamy go w domu. Jestto rurka wązka, u dołu zakończona kulką wydetą i napełniona do pewnej wysokości żywym srebrem czyli rtęcią. Gdy termometr ogrzewamy nad lampką, lub gdy go w gorącą wodę zanurzamy, słupek rtęci wydłuża się, podnosi się w górę; gdy go natomiast oziębiamy zimną wodą lub lodem, rtęć kurczy się, opada. Zamiast rtęci, napełniają ją też niekiedy termometry zabarwionym alkoholem czyli spirytusem, a pod wpływem zmian temperatury ciecz ta tak samo rozszerza się i kurczy.

Spróbuj jednak urządzić sobie termometr wodny, co znaczy, postaraj się o rurkę szklaną, jakiej do wyrobu termometru używamy, i napełnij ją wodą. Przy ogrzewaniu i oziębianiu takiego termometru wodnego zachodzą w nim takież same objawy, jak przy ogrzewaniu i oziębianiu termometru rtęciowego lub alkoholowego — słupek wody podnosi się i opada. Dzieje się to wszakże tylko, dopóki woda nie jest zbyt zimną; przy dalszem jej oziębianiu uderzy nas zjawisko bardzo osobliwe.

Aby więc wodę tak bardzo oziębić, otoczmy kulkę naszego termometru bryłkami lodu, albo, co skuteczniej jeszcze działać będzie, umieścimy ją w mieszaninie oziębiającej, złożonej z lodu potłuczonego i soli kuchennej. Z początku zjawisko przebiega w sposób prawidłowy zupełnie; w miarę, jak woda się w rurze oziębia, kurczy się też, zmniejsza swą objętość, słupek jej wciąż opada. Skoro wszakże oziębienie dojdzie już do pewnego stopnia, następuje zmiana niespodziewana, — woda, chociaż zimniejszą jeszcze się staje, już się dalej nie kurczy, ale, owszem, powiększa swą objętość, słupek jej wznosi się w górę, zupełnie tak, jakbyśmy jej od punktu tego już nie oziębiali, ale rozgrzewali. Z doświadczeń starannych przekonano się zaś, że nagły ten zwrot ma miejsce wtedy, gdy temperatura wody wynosi cztery stopnie, co znaczy, gdy na termometrze rtęciowym lub alkoholowym, mającym podziałkę stustopniową, słupek rtęci sięga liczby 4^o

(d. n.)

KRÓL MIGDAŁOWY.

(Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia).

Pododne słońce zimowe skryło się już oddawna poza białymi szczytami pagórków, okalających malowniczym wieńcem Dobrzyniecką-Wólkę, zamożną wieś, położoną o kilka mil od Lublina. Ponad chatami rozłożonemi poniżej, wzbijały się słupy dymu, prostym swoim kierunkiem wróżące pogodę na dzień następny, a przez drobne szybki okien migotały błędne światełka, które zwolna gasły jedne za drugimi, tak, że niedługo na tle w gęstym cieniu zatopionej wioski, malował się tem wybitniej obszerny dwór szlachecki, rzucający odbłask jasności na ośnieżony gościniec. A było też tam ludno i gwarno w tym dworze, do którego stojąca tuż pod ścianą wielka lipa staruszką, chyląc się pod naciskiem wstrzą-

sającego wiatru, zdawała się zaglądać pożądlwie, jak gdyby zazdrościła porozstawionym wewnątrz wazonach egzotycznym roślinom, że znalazły bliższy od niej wstęp do tego domu, który ona od lat tyłu osłaniała swym cieniem. I skarżyła się na swój sposób starowina, że teraz pod białą zimową szatą stała się obojętną dla wszystkich i nie mogła powtórzyć najmłodszemu pokoleniu Dobrzynieckich, wszystkiego co wiedziała o ich naddziadach, którzy wzrastali i starzeli się pod jej osłoną. O! gdyby jej i dziś chciała posłuchać ta gromadka dzieciaków co tam wśród figłów i żartów napełniała wesołym gwarem dobrze ogrzane pokoje, jakżeby jej chętnie opowiedziała, ile to trudów ponieść musiał terażniejszy dziadziec, ich ukochany dziadunio, pan Stanisław Dobrzyniecki, nim oczyściwszy z długów ojcowiznę, zdołał ją doprowadzić do takiego stanu, że mu wystarczała nietylko na wychowanie trzech dorodnych synów i wyprawę dla dwóch córek, które oddawna już zagospodarowane we własnych domach, lubiły też przy każdej sposobności zjeżdżać ze swymi małymi dziećmi do rodzinnego gniazda. Temiż samymi uczuciami rządzyli się również dwaj synowie państwa Dobrzynieckich, oddani korzystnym zajęciom w odległych miejscowościach i tylko najstarszy z nich szczególnie ulubieniec matki i prawa ręka ojca w zabiegach około gospodarstwa, pozostawił już od lat kilku pustkę w rodzinnem kole, padłszy ofiarą panującej we wsi tyfoidalnej gorączki. Młoda jego małżonka w rok potem niespełna, spoczęła obok niego na miejscowym cmentarzu, polecając na łożu śnierci dwoje drobnych sierotek: dziesięcioletniego Bolcia i o trzy lata młodszą Ewunię staraniom ukochanych rodziców męża. Był to jeden z najstraszliwszych ciosów, jaki uderzył w szlachetne serca przeznaczonych dziedziców Dobrzynieckiej-Wólki. Przenieśli go z pokorą chrześcijańską starając się wzajemnie wzbudzać w sobie odwagę, tak potrzebną do podjęcia nowych obowiązków względem osierociałych wnucząt. To też Bóg pobłogosławił ich staraniom, dzieci chowały się zdrowo i szczęśliwie. W chwili, kiedy się rozpoczyna nasze opowiadanie, Bolek już jako uczeń drugiej klasy gimnazjum lubelskiego przywiózł na Boże Narodzenie wolną od dwójek cenurę, a jego siostra pomimo młodego wieku zwana od całego dworu małą gosposią, była prawdziwą pociechą dla dziadka i babci, starając się uprzedzać niemal myśl każdą wyczytaną w ich oczach.

Była ona prawdziwym słoneczkiem dla całej Dobrzynieckiej-Wólki, a ilekroć ukazała się przy boku ukochanej babci, zdawała się ją ożywiać i odmładzać. Teraz szczególnie kiedy tyłu miłych gości zjechało do domu, przyjemna wesołość, dobroć i usługliwość Ewuni uwydatniała się jeszcze więcej w tysiącznych drobnych przysługach oddawanych starszym i młodszym krewnym. Nic też dziwnego, że czas ulatywał na skrzydłach dla wszystkich osób zebranych pod tym gościnnym dachem, unosząc niepostrzeżenie dzień za dniem i że już dziś starzy i młodzi spoglądając na wielkie głoski: G + M + B nakreślone świeconą kredą nad drzwiami, przypominali sobie z westchnieniem, że już wkrótce przyjdzie im pożegnać najukochańszych gospodarzy, ażeby znów bardzo długo tęsknić za nimi.

Myśl ta zdawała się szczególnie przytłaczać duszę Bolcia, który i bez tego od chwili swego przyjazdu pozostawał w dziwnie poważnem usposobieniu i pomimo ogólnych pieszczot i hojnych podarunków gwiazdkowych, nie mógł się dostroić do swobodnej wesołości swych młodziutkich kuzynów i kuzynek.

Ale w świętą uroczystość Trzech Króli nie było miejsca na posępne myśli we dworze państwa Dobrzynieckich, bo w tym dniu właśnie przy obfitej wieczerzy, jaką miało podzielać kilka osób zaproszonych z sąsiedztwa, miano podać na stół ów tradycyjny placek z jednym migdałem, który miał uczynić królem jedego ze współbiedniaków.

W stołowym pokoju krzątał się już stary Jacenty około pięknych nakryć z saskiej porcelany i ciężkich sreber, co wycierane od lat tyłu jego skrzyżtymi rękami w niczem dotąd nie straciły dawnej wartości. Ręce staruszka drżały

i byłby z pewnością znów się naraził na gniew niecierpliwego Dymińskiego, gdyby mała Ewunia nie pospieszyła mu z pomocą. Młoda gosposia podawała tak zręcznie i żwawo połyskujące łyżki, widelce i noże, że w chwili kiedy ostatnie sianki przywożące goście zadzwoniły przed gankiem wszystko już znajdowało się na właściwym miejscu.

W pół godziny potem ogromny pajak kryształowy zawieszony u sufitu, rzucał jasne światło na twarze wesołych gości, którzy para za parą przesuując się przez otwarte dębowe podwoje, zabierali miejsce u stołu.

W borny humor ożywiało całe towarzystwo, a wracające ze stołu próżne półmiski, świadczyły, że i apetyt niemniej też musiał dopisywać wszystkim. Tylko dziatwa siedząca dotąd bardzo skromnie i cicho obok starszych zaczęła się trochę niecierpliwie, rzucając co chwila niespokojne spojrzenia ku drzwiom, w których ukazywali się i znikali służący z półmiskami.

Nakoniec, ku wielkiemu ich rozradowaniu, wszelkie znaczniejsze nakrycia zniknęły ze stołu, ustępując miejsca małym talerzykom deserowym, a drzwi rozwierając się raz jeszcze przypuściły naprzód babcię z nieodstępna Ewunią przy boku, a następnie Jacentego, niosącego na tacy ogromny placek pokrajany na ilość kawalców odpowiadającą liczbie zebranych osób. Wonne cząstki pięknego ciasta w jednej chwili rozleciały się pomiędzy biesiadnikami, którzy zaczęli jednocześnie poszukiwać ukrytego migdała.

— Babuniu! ja go znalazłem — zawołał z dziwnym rozradowaniem Bolek, podając rozłamany kawałek pani Dobrzynieckiej — ach, jak to doskonale, jak wybornie się przytrafiło.

— A to dopiero ambitny kawaler! — zauważył któryś z gości.

— Prawda! — poświadczył pan domu — jesteś zatem królem. Gdyby ten los spotkał kogoś starszego przy tym stole miałby prawo wszystkim nam rozkazywać, ale taki młody królik jak ty, mój Bolku, może tylko wyrazić jedno ze swych najgorętszych życzeń. Wymów je więc śmiało, ale po namyśle, gdyż królowi migdałowemu nie można niczego odmówić.

— Czy tak dziaduniu? A więc skorzystam z tego przywileju, oświadczając, że życzenie moje pozostanie tylko pomiędzy nami dwoma. Wszakże będąc królem nie potrzebuję się jaśniej tłumaczyć.

Spojrzenia wszystkich zwróciły się z zaciekawieniem na zarumienioną twarz chłopca, który pocałowałwszy dziadka w rękę wrócił na dawne miejsce.

Stanowcze jego oświadczenie, wywołało u starszych mnóstwo żarcików, ze strony zaś kuzynków i kuzynek, prawdziwy grad zapytań, któremu zaledwie zdołał się obronić, sama nawet Ewunia nie przestawała go niemi zarzucać i dlatego odetchnął dopiero swobodnie, kiedy po rozjechaniu się gości, kazano dzieciom udać się na spoczynek, a pan Dobrzyniecki zawołał go do swego pokoju.

— No, mój mały królu — zagadnął go na wstępie — spodziewam się, że teraz już zechcesz mi objawić swoje życzenie.

— O! tak dziaduniu! ale proszę cię naprzód żebyś się nie rozgniewał. Oto ja pragnąłbym koniecznie przed odjazdem do Lublina mieć dwadzieścia pięć rubli..

— Dwadzieścia pięć rubli! — powtórzył z niezadowoleniem pan Dobrzyniecki — a tobie na co tyle pieniędzy?

— Nie potrzebuję ich dla siebie, chociaż teraz dopiero nauczyłem się naprawdę oceniać wartość pieniędzy, gdy wprzód miały one dla mnie prawie toż samo znaczenie co dla mojej małej ciotecznej siostrzyczki Zosi, to jest papierka czy blaszki za jakie kupić można zabawkę, lub cukierek.

— Bardzo dobrze, ale dotąd jeszcze nie mogę zrozumieć twojego żądania!

— O! zrozumiesz go natychmiast dziaduniu! zechciej tylko posłuchać mnie cierpliwie. Nie wiem, czy przypominasz sobie Ignasia Przygodzkiego. Jestto mój serdeczny przyjaciel, a zarazem najzdolniejszy uczeń w naszej klasie,

posiadający przytem usposobienie tak otwarte i wesołe, że już przez to samo zyskał sobie ogólną życzliwość. Otóż od pewnego czasu, nietylko ja, ale i inni koledzy zaczęli dostrzegać jakąś zmianę w jego humorze. Pytaliśmy go po kilka razy, ale zbył nas zręcznie żarcikami i byłbym się o niej może nigdy nie dowiedział, gdyby nie okoliczność jaka zaszła w dniu kiedy nam rozdano cenzury. Moja także nie należała do najgorszych. Wracalem więc pełen radości do domu profesora Tabelskiego, pewny już, że najdalej nazajutrz przyjedzie ktoś po mnie z Dobrzyńckiej-Wólki, kiedy najnie spodziewaniej spotkałem się z panną Jadwigą, starszą siostrą Ignasia. Była ona tak smutna i pomieszana, że zaledwie skinieniem głowy odpowiedziała na moje uprzejme powitanie.



Collin biegł za nim czas jakiś...

Zdawało mi się nawet, że miała oczy zaczerwienione od płaczu. Widok ten boleśnie ścisnął mi serce, lecz cała tajemnica wydała się dopiero w czasie obiadu. Wtedy bowiem pani profesorowa przy nas wszystkich zapytała męża, czy nie wie dotąd nic pomyślnego o interesie Ignasia Przygodzkiego.

— Nie, moja droga! — odpowiedział tenże krótko — wszakże mówiłem ci odrazu, że na drugie półrocze szkolne bardzo jest trudno o stypendyum.

— Ach! mój Boże! — wyrzekła zacna pani profesorowa — a cóż ja powiem jego siostrze? Dziś jeszcze była u mnie, żaląc się na smutne położenie w jakie popadli w skutek długiej choroby matki, której przy tak szczupłej emeryturze ciężko jest i bez nadzwyczajnych wypadków dom utrzymać.

— Poradz jej, żeby sprzedała maszynę do szycia, a będzie miała czem opłacić wpis za brata.

— Byłaby to nieszczęśliwa rada, bo ta maszyna stanowi dla biednej dziewczyny znaczne ułatwienie w szyciu sukien, które dostarcza jej środków do zachowania rodziny od ostatniej nędzy. Biedna Jadwinia! ileż musiałaby nadłożyć czasu i pracy szyjąc po dawnemu ręcznie.

— Nie znam się na tem — odrzekł Tabelski, smutnie spuszczając oczy. Ale cóż począć nie będąc bogatym, nie mogę na to znaleźć innej rady. Zresztą, trzeba by mieć chyba skarbiec królewski, ażeby dostarczyć pieniędzy tym wszystkim, co ich potrzebują.

Pani profesorowa westchnęła ciężko, a i mnie naraz opanował taki smutek, że chociaż byłem głodny, odeszła mnie chęć do jedzenia. W głowie mojej powstało jakieś szczególne zamieszanie. Ach! te pieniądze. Wszakże i ja słyszałem nieraz od starszych, że nie są one celem, ale środkiem do życia. A jednak, jakże ciężko przychodzą tym, co na nie sami muszą zapracować. Bez pieniędzy ta poczciwa panna Jadwiga nie będzie mogła dać dostatecznych wygód schorzałej matce, a biedny Ignas może zostać pozbawionym dalszych nauk, do których ma tyle zdolności i chęci. O! i dobra pani profesorowa cierpi teraz nie mało nad tem, że im nie będzie mogła dopomóc. Więc to aż tyle jest biednych, że trzeba by mieć skarbiec królewski, ażeby ich wesprzeć. O! jakże pragnąłbym kiedyś zostać takim możnym, bogatym królem.. Ale widziałem naprzód, że to próżne marzenia, w duszy więc tylko westchnąłem do Boga, żeby mi dał zostać kiedyś użytecznym człowiekiem. Mimo to myśl o nieszczęściu Ignasia i jego rodziny nie opuszczała mnie wcale, nie pozwalając swobodnie korzystać ze wszystkich rozkoszy jakie mnie tutaj oczekiwały, kiedy wtem dziś najnie spodziewaniej...

— Los uczynił cię królem migdałowym, a twego dziadka ministrem skarbu, który się postara według możności zadowolnić przynajmniej twoje pierwsze żądanie! — przerwał pan Dobrzyńcki, przyciągając do siebie wzruszonego chłopca.

— O dziaduniu! — zawołał drżącym głosem Bolcio — w takim razie będę cię jeszcze prosił, żebyś dołączył do żądanych obecnie pieniędzy, moje własne pięć rubli, podarowane od stryjaszka, na kupienie łyżw amerykańskich.

— Stanie się i w tem zadość życzeniom waszej królewskiej mości! — żartował zacny starzec, całując w czoło wnuka — a do tego, ani słówka wobec drugich, wszak to sekret między nami! Ale teraz, drogi mój Bolciu, idź już pomodlić się do Boga, ażeby zawsze wiódł kroki twoje do poznania dróg swoich, tak jak niegdyś prowadził świętych trzech mędrców, do szopy gdzie się narodził Zbawiciel świata, a potem udaj się na spoczynek. Życzę ci z całego serca dobrej nocy!

Że tę noc Bolcio musiał przepędzić bardzo dobrze, o tem nazajutrz mogli się przekonać wszyscy, po czerstwym rumieńcu zdrowia, jaki ozdabiał jego poczciwą twarzą i pogodnej wesołości, którą przewyższał od tego czasu, całe gwarne grono kuzynów i kuzynek. Wesołość ta przebiła się nawet przez łyż, jakimi żegnał ukochaną Ewunię i błogosławiącą go babkę w chwili odjazdu z panem Dobrzyńckim do Lublina.

— Ciekawa gromadka małych gości mimo przeróżnych zabiegów, nie dowiedziała się nigdy o życzeniu Bolcia i szczęśliwych jej następstwach, ale co najważniejsza, nie dowiedziała się o nich i pani Przygodzka, która w samą porę otrzymała kopertę zawierającą kwit zapłaty szkolnej za Ignasia, wraz z sumą dwa razy większą od tej, jakiej żądał Boles od dziadka.

Jednocześnie prawie coraz to więcej zamożnych pań z okolicy, zaczęło się pojawiać w pracowni panny Jadwigi, tak że wkrótce zamiast sprzedać własną swą maszynę, musiała wziąć drugą w miejscowym składzie, a zarazem sprowadzić z Warszawy biegłą krojczynię do pomocy.

Zakład ten przeniesiony obecnie na jedną z najpiękniejszych ulic Lublina, daje swej właścicielce obfite zyski, Ignas kończący gimnazjum, utrzymuje się już prawie sam daniem korepetycyi, a jego matka i siostra w każdą niedzielę

WYPRAWA DO GRENLANDYI

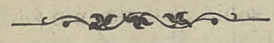
¹
bieguna północnego,
przekład **K. P.**

(Dalszy ciąg).

— Przyjechałem z Ligurdem do Aberdeen, aby zwiedzić miasto; on pojechał dalej, a ja zostałem na parę dni. Wieczorem, nie mając nic do roboty, poszedłem na pagórek, aby

i święto, w dawnym po Kapucyńskim kościele, dziękując Bogu za swoje szczęście, nie domyślają się nawet, że jego pomocą, został z Jego woli, mały król migdałowy z Dobrzynieckiej-Wólki.

E. L.



Pałac Seldżuków.

Wspaniałe zwaliska, wpośród których dotąd jeszcze zachowały się wieżyce, bramy murów obronnych, pozostały



Pałac Seldżuków.

w mieście Konia, jako jedyna pamiątka bogactwa i potęgi Seldżuków, możnego pokolenia tureckiego w Bucharyi, które w XI i XII-tym wieku założyło kilka sławnych dynastii, panujących w Mezopotamii, Persyi, Syrii i Azji Mniejszej.

Dziś jedynym śladem przejścia po ziemi Seldżuków, są owe malownicze zwaliska, przedstawione wiernie na naszej rycinie. Miasto Konia jednakże, pomimo utraty dawnego znaczenia, nie przestaje być jednym z najważniejszych punktów handlowych w środku Azji Mniejszej.

zrobić parę obserwacji księżycowych, kiedy nagle napadło na mnie dwóch ludzi, zabrali pieniądze i pamiątkowy zegarek po ojcu i uszli. O pieniądze mniejsza, ale zegarka mi szkoda, bo ojciec przez wiele lat go nosił i bardzo lubił.

— Należy zawiadomić policję.

— Już Collin to dawno uczynił. Nie wiem tylko, czy się uda go odnaleźć.

W parę dni później wezwano Olafa do cyrkułu. Za stołem siedział wygolony urzędnik w okularach, który go zapytał:

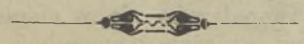
— Pan jest Olaf Ranna?

— Tak jest. Czego pan odemnie żąda?

— Chciałem zwrócić zegarek, który panu skradziono przed kilku tygodniami.

— Mój własny zegarek! Czemu się mam panu wdzięczyć?

— Słuchając dobrej rady. Jeżeli się kiedykolwiek wy-



bierzesz na obserwacje gwiazd, to nie kładź złotego zegarka do kieszeni.

Zanim się Olaf udał do Glen Moira, zajechał do Iverness, gdzie go matka przyjęła ze łzami w oczach. Biedaczka całym sercem pragnęła być przy synu, ale choroba ojca, starszka zupełnie osamotnionego, przyknała ją do domu. Teraz, słuchając opowiadań Olafa, nie wiedziała, jak wyrazić wdzięczność pani Jackson i Collinowi za ich troskliwą opiekę i bez wahania pozwoliła mu odwiedzić przyjaciela.

Tymczasem Collin przygotowywał się na przyjęcie Olafa; wyszukał mu konia, strzelbę, wędkę, wiosło, aby mógł z nim dzielić wszelkie zabawy.

Stary pan Mac Ivor, zajęty gospodarstwem, nie miał czasu myśleć o chłopcach i zostawiał im zupełną swobodę. Po całych dniach pływali łodziami, jeździli konno, a wieczorem wracali do domu tak zmęczeni, że nieraz zdarzało im się zdrzemnąć przy kolacyi.

Zima nadchodziła, dni stawały się coraz krótsze, w powietrzu przelatywał śnieg. Pewnego razu Olaf rzekł, patrząc przez okno:

— U nas w Norwegii już wszyscy jeżdżą na „skich” a tu czy zimą śnieg pokrywa ziemię?

— Za jaki tydzień będziemy go mieć więcej, niż potrzeba. Ale powiedz mi, co to są „ski” (wymawiaj szki).

— Ski, to są długie łyżwy nowogskie, których się używa do chodzenia po śniegu. Chciałbym je właśnie zrobić, czy masz suche drzewo i narzędzia stolarskie?

— Naturalnie, chodź do stolarni, to ci dam wszystko, czego będziesz potrzebował.

Olaf wziął się szczerze do roboty, Collin mu dopomagał, i tegoż jeszcze wieczoru dwie pary skich pokazano staremu panu Mac Ivor, który zapewniał, że jego z pewnością nikt na nich jeździć nie nauczy.

Przez kilka dni chłopcy daremnie rozglądali się po niebie; nigdzie nie było widać śnieżnej chmury, nareszcie pewnego rana budząc się ujrzeli niezwykle białe światło, wpadające przez okna. Był to śnieg, który grubą warstwą pokrywał ziemię i nieprzestawał padać wielkimi płatkami.

— Dalej na podwórze! — zawołał Olaf, chwytając swoje ski; w jednej chwili je nałożył, i pędził w prostej linii przed siebie. Collin biegł za nim czas jakiś, a gdy go stracił z oczu, szedł śladem. Lecz na brzegu stronnego jaru ślad zniknął; czyby Olaf przeskoczył na drugą stronę? Collin wiedział, że norwescy łyżwiarze nieraz to czynią, ale tu jar był zbyt szeroki. Musiał mu wydarzyć się wypadek; zapewne spadł z wysokiego brzegu i utonął w śniegu miękim jak puch. Collin zeszedł ostrożnie na dół i nie ujrzał nic innego, jak dwa wąskie kawałki drzewa, sterczące nad śniegiem. Z łatwością poznał końce skich i zaczął grzebać z całej siły i niebawem wy dobył Olafa, którego upadek trochę ogłuszył, ale niedługo przyszedł do siebie, i wydobywszy się na równą drogę nietylko nie zrucił swoich łyżew, ale namówił Collina żeby mu towarzyszył.

Collin z ochotą nałożył ski, ale o dziwo! rzecz na pozór tak łatwa i prosta jak ślizganie się po śniegu, wydała mu się teraz wprost niemożliwą. Zaczepiał jednym ski o drugi, tonął po kolana w śniegu a nawet raz wywinął młynka i zapadł tak głęboko, że mu zaledwie końce butów wystawały. Po dwóch godzinach, dzięki wielkiej pracy i wskazówkom Olafa, był w stanie przejść kawałek, ale go to tak zmęczyło, że ledwie się dowlókł do domu, a nazajutrz rano był jakby zbity. Olaf mu poradził, żeby wybił klin klinem i szedł znowu się ślizgać. To istotnie pomogło i tego dnia jeszcze a później dni następnych Collin zrobił tak znaczne postępy, że mógł dotrzeć do placu przyjacielowi.

II.

NA ŚNIEŻNYCH GÓRACH GRENLANDYI.

— Czegobym się chciał doczekać — rzekł kapitan Reynolds, uderzając pięścią o stół — czegobym się chciał doczekać, to powrotu do domu ze statkiem tak pełnym, żeby nareszcie moi chlebodawcy byli zadowoleni.

To mówiąc, spojrzął dokoła i ciągnął dalej:

— Żeby się skóry nie mieścily pod pomostem, i na pokładzie tworzyły wzgórek do pół wysokości wielkiego masztu.

— Bravo! kapitanie Reynolds! — zawołał Rudland Syme, młody doktor, uśmiechając się nieznacznie.

— Niech pan sobie ze mnie nie żartuje, zobaczy pan, że mi się to uda. Idzie tylko o to, aby uprzedzić inne statki i wypłynąć na jaki tydzień przed niemi. „Co ten stary Reynolds sobie myśli”, będą pytali wszyscy kapitanowie, a ja ciutko dopłynę do Bressa-Sonud, wybiorę najlepszych ludzi i dalej do Grenlandyi. Okręty parowe nic nie wskórają, bo trzeba widzieć mego „Speedy” (szybki) przy pomyślnym wietrze! Tak mknie jak najlepszy statek pocztowy. Będziemy płynęli ciągle na północno zachód, aż pewnego dnia chłopak na bocianiem gnieździe zawoła: „Foki przed nami, morze aż czarne od nich”! Wtedy będziemy im towarzyszyli i poczekamy aż małe urosną tyle, że będą przydatne na skóry a wtedy zobaczycie!

Collin i Olaf byli wtedy w gospodzie marynarzy i przysłuchiwali się z niewymownem zajęciem ich rozmowom, aż nareszcie Collin nie mógł usiedzieć na miejscu, podszedł do kapitana Reynolds i rzekł:

— Niech nas pan weźmie ze sobą, doprawdy, że będziemy panu użyteczni, umiemy dobrze strzelać, jeździmy wcale nieźle na ski'ch i znamy manewr okrętowy, niech nas pan weźmie do jakiegokolwiek pracy, bylebyśmy mogli popłynąć na „Speedy”.

— I owszem, moje chłopaki, jeżeli tylko wasi rodzice i opiekunowie nie będą mieli nic przeciw temu; ja właśnie potrzebuję młodych i odważnych ludzi.

— Ani moja matka — rzekł Olaf — ani stryj Collina, nie zabronią nam, nieraz mówiliśmy z nimi o tem, że chcielibyśmy wziąć udział w wyprawie podbiegunowej, i oboje zgodzili się.

— A więc dobrze, przyjmuję was jako chłopców okrętowych, bo nam nie wolno wozić pasażerów i wyznaczę wam zajęcie; uprzedzam tylko, że za jaki tydzień wyruszymy.

— Ja mam prośbę do pana — rzekł Olaf. — Czy nie mógłby pan dać u siebie miejsca mojemu opiekunowi? Jestto bardzo wyborny marynarz, nazwiskiem Sigurd.

— Sigurd, Sigurd, pamiętam, że dawniej znałem Sigurda na „Viking'u” pod kapitanem Ranną. Czyżby to był ten sam?

— Tak panie. Ja jestem synem kapitana Ranny.

— Dzielnego miałeś ojca, mój chłopcze. Na północy wszyscy go szanowali i zasięgali jego rady; pamiętam, że kiedy zginął, nie było marynarza, któryby go nie żałował. Nie dziwię się, że będąc synem takiego ojca, wyrastasz na tęgiego człowieka. A co się tyczy Sigurda, to go z największą ochotą przyjmę i dam mu miejsce starszego oficera, bo za dawnych czasów był prawą ręką kapitana Ranny, więc musi być wiele wart.

— O tak, to jest człowiek niezwyklej energii i prawości; dla tego też mama lubi żeby był ze mną, i teraz ucieszy się gdy się dowie, że Sigurd i ja idziemy pod komendę pana.

— A więc dobrze, więc umówiliśmy się, a za tydzień proszę się stawić do Peterhead, bo „Speedy” czekać nie będzie.

Kapitan Reynolds dotrzymał słowa, jeszcze żaden okręt nie wyszedł z doków, gdzie je zwykle naprawiają, a „Speedy” stał już na kotwicy, czekając tylko hasła wyjazdu. Wiatr dał bardzo silny z południa i kapitan postanowił z niego skorzystać, więc nie zważając na dosyć rozkołysane morze, wypłynął z portu żegnany przez tłum krewnych i przyjaciół, odprowadzających marynarzy.

WBressa-Sound na wyspach Szetlandzkich nie zastali żadnego okrętu i kapitan mógł sobie wybrać najślawniejszych poławiaczy fok, to też uśmiech nie schodził mu z twarzy i przyswistywał sobie wesoło.

W Lerwick zaopatrzono się w ciepłe ubranie, futra, buty i rękawice, bez których niepodobna płynąć na ocean Lodowaty, „Speedy” podniósł kotwicę i oddalił się tak szybko,

że, gdy po krótkim dniu nastąpił wieczór, ład rysował się tylko jak czarna smuga na horyzoncie.

Zapadła noc ciemna, o piątej po południu już nie było widać, gdyż minęło zaledwie porównanie dnia z nocą, a w okolicach tak daleko wysuniętych na północ, o wiele krócej świeci.

— Wcześniej się ściemniło, chłopcy? — rzekł kapitan Reynolds, gdy Collin i Olaf zeszli do salonu — i do tego nie mamy księżycy, musimy płynąć na oślep.

— Czy w tych stronach niema skał podmorskich?

— Na szczęście, nie. Wiatr mamy pomyślny, morze wolne; wyprzedzimy inne statki przynajmniej o tydzień. Nieprawdaż Joe?

Joe, czyli Józef Barry był oficerem i przez sześć lat, to jest od chwili gdy kapitan Reynolds objął dowództwo nad „Speedy”, nie opuścił ani jednej wyprawy i niezmiernie się przywiązał do wesołego kapitana.

— Tak — rzekł Joe — wypada, żebyśmy wrócili z pełnym ładunkiem, a ponieważ wypada więc tak będzie, to mówiąc nałożył sobie fajkę piankową i spokojnie palił.

— Będziemy mieli sporo roboty — rzekł Reynolds — ale tymczasem żebyśmy nie zardzewieli w bezczynności i żeby się nam nie przykrzyło, musimy sobie wynaleźć jakieś zajęcie. Chłopcy, cóż wy na to?

— Myśmy właśnie mieli prosić pana, aby nam było wolno trzymać straż razem z oficerami.

— Dobrze — rzekł Joe — niech Olaf należy do straży Sigurda, a Collin będzie ze mną.

Może który z moich czytelników zechce się wybrać do Grenlandyi, niech posłucha tego, co mu powiem:

Bez najmniejszej wątpliwości widok gór lodowych i śnieżnych pól w świetle północnego słońca albo zorzy, nie da się z niczem porównać; jest pewien tajemniczy czar w tych bezbrzeżnych przestrzeniach lodu, w tem mrocznym, i chwilami jaskrawem świetle, który działa na ludzi tak, że się stają bardziej skupieni i zamknięci w sobie. Ale są inne względy, które spowodowują, że wyprawa do Grenlandyi jest dostępna tylko dla ludzi niezwykle silnych i wytrwałych. Nie mówię tu o wycieczkach parowcami do Reykiawick, bo te się odbywają w porze letniej, i trwają po parę tygodni, nie narażając podróżnego na najmniejsze niewygody. Dopiero prawdziwy Granlandczyk, t. j. łowca fok albo wielorybów, wie co to trud.

(d. c. n.)

MARYA ŁOPUSZAŃSKA.

NA PUSTYNI.

(Dalszy ciąg).

— Ot i dwór! — ozwał się wreszcie woźnica, wskazując biczyskiem na dość obszerny budynek, położony na wzgórzu.

Jance serce zabiło mocno; jak też zostanie przyjętą, i jakim będzie jej życie w tem nowem otoczeniu?

Zajechali przed ganek, z którego najpierw wybiegło kilka psów rozmaitego gatunku i wielkości i poczęły szczeleć zjadłe, następnie wyszedł chłopak wiejski, widocznie służący i zabrał rzeczy Janki, gdy ta wysiadła.

W sieni czekała na nią osoba niemłoda, ubrana w nocny czepiek i kaftanik, z lampą w ręku. Janka domyśliła się w niej ciotki, bo te kilkanaście lat niewidzenia zmieniły ją bardzo.

— Jakże można robić takie niespodzianki! — ozwała się zaraz na wstępie, całując Jankę zmieszaną. Wczoraj

mąż mój jeździł sam na kolej po ciebie, aleś nie przyjechała, więc dziś nie posyłano wcale koni, bo u nas teraz robota, wszyscy ludzie zajęci, nie można ich odrywać.

Mówiąc to, ścisnęła i całowała Jankę, która nie wiedziała sama, co ma odpowiedzieć na takie powitanie. Była też wprawdzie bardzo senna, wypila prędko herbatę w wielkiej jadalni, w której stały po kątach porozkładane suszące się nasiona, i została odprowadzoną do pokoiku na górze, gdzie natychmiast prawie usnęła.

Nazajutrz obudziła się dość późno i usłyszała gruchanie gołębi na dachu, z dołu zaś dolatywały ją różne odgłosy gospodarskie. Po chwili rozległ się donośny głos ciotki, wołającej na służącą:

— Paraszka, czemuś nie zaniósła mleka do piwnicy? A to dopiero próżniak dziewczyna! Cały dzień nad nią stać trzeba, inaczej nic nie zrobi!

Na Jankę nieinile wrażenie zrobił głos ten gderliwy; pomyślała sobie, że ludzie na wsi strasznie ordynarnieją, bo przecież ciocia dawniej taką nie była — Chciała wstawać, ale służąca się nie ukazywała dotąd, a dzwonka nigdzie nie było. Wreszcie weszła prosta, wiejska dziewczyna w czystej, grubej koszuli i dosyć jeszcze niezgrabna, snać niedawno wzięta do dworu. Poczęła usługiwać Jance, dziwiąc się, że panuńcia ma takie małe nóżki „jak u lalczki”. Ta, ubrawszy się, zapytała, czy już można iść na herbatę.

— O, u nas już dawno wszyscy po herbacie, pan z paniczem pojechali w pole, tylko dla panuńci samowar stoi, a ja już dwa razy węgla dokładałam, żeby nie ostygł.

Janka podziękowała jej za pamięć i zeszła na dół. Jadalnia w dzień wydała jej się jeszcze prostszą, niż wieczorem, wielki stół, ciągnący się wzdłuż całego pokoju, nie był nawet politurowany, krzesła także miały najprostszą, jaka tylko być może formę. Wszystko to raziło smak estetyczny Janki, zwłaszcza, że i ciotka ukazała się w starej, domowej sukni wprawdzie czystej ale bardzo niemodnej i ponaprawianej tu i owdzie.

— Jakże tam, wyspałaś się? — zapytała, całując siostrzenicę w czoło. Bardzo cię podróż zmęczyła? Bledziutko jakoś wyglądasz... A ja już od piątej na nogach; u nas tu ciągną krętanina, ani chwili niema odetchnienia.

Janka zwróciła teraz uwagę, że ciotka miała mocno ogorzałą twarz i ręce, głos także jakby schrypnięty nieco, znać od ciągłego wołania na służące.

Pani Wilczewska posiedziała jeszcze trochę, wypytyując siostrzenicę o krewnych, których dawno nie widziała, bo wiem od czasu swego zamążpójścia raz tylko przyjeżdżała do Warszawy.

— Mój Boże, musieli się postarzeć wszyscy — mówiła — jakże się ma mój brat Feliks?

— Wuj Feliks doskonale wygląda i ciocię kazał uściśkać — odpowiedziała Janka — bardzoby pragnął ciocię zobaczyć, ale mu zajęcia nie pozwalają na tak daleką podróż.

— Poczeiwy Feliks, jakżebym chciała z nim się widzieć — rzekła ciotka wzruszona, ale w tejsze chwili, spojrzawszy w okno, krzyknęła:

— A to skaranie Boże z tymi ludźmi, znów mi cielęta do ogrodu wpuścili. Pietrek, mazgaju jeden, biegnij, wypędź, bo mi sałatę zjedzą!

To mówiąc, pani Wilczewska sama wybiegła i po niejakiem czasie znów rozległ się na podwórzu jej głos gderliwy, robiący wymówki dziewczkom za to, że kurom jeść nie dały.

— O, Boże, gdzież ja się tutaj dostałam? — pomyślała biedna Janka, nieprzyzwyczajona do podobnych scen gospodarskich. Nie, nie, wuj nie będzie tyle okrutnym, żeby mi tu kazać siedzieć pół roku. Napiszę do niego, że nie wytrzymam długo, że się rozchoruję...

W tej chwili drzwi się otwały, i z poza nich wyjrzała głowa chłopca, okryta bujnemi włosami w nieładzie. Zajrzał do sali, a spostrzegłszy Jankę, natychmiast zabrał się do ucieczki. Dziewczę domyśliło się tylko, że to był jeden z młodszych jej kuzynków, których było sześciu. Dopiero

przy obiedzie ujrzała całą rodzinę, bo zaledwie przed obiadem pan Wilczewski powracał z pola, dokąd mu towarzyszył starszy, dziewiętnastoletni syn, Władek, który po ukończeniu szkół, pomagał ojcu w gospodarstwie. Sam pan Wilczewski był człowiekiem małym i wiecznie chmurnym, jak gdyby troski gospodarskie ani chwili nie dawały mu pokoju. Zaledwie się przywitał z Janką, natychmiast zasiadł do obiadu, jedząc szybko i w milczeniu.

Władek, silny, barczysty, ogorzały przywitał się dość niezgrabnie, poczem usiadł, przez cały czas nie podnosząc prawie głowy i nie spojrzawszy na nikogo. Janka, przywykła do uprzejmej i łatwej w obejściu młodzieży, która jeszcze na ławie szkolnej będąc, umie już prowadzić dowcipną, światową rozmowę, patrzyła na swego kuzyna jak na dzikiego i skrzywiła usta pogardliwie ujrawszy jego ręce opalone, widocznie nieznające się z rękawiczkami. Młodzi kuzynkowie mieli pozór jeszcze dziksz, każdy z nich nietylko był ogorzały ale rozczochrany i podrapany jak gdyby łąził gdzieś po gęstwinach i zaroślach. W istocie o kilkadziesiąt kroków od domu rozciągał się las dość gęsty tam to młodzi chłopcy przebywali prawie po całych dniach, a skoro ktoś z gości przybył do Hołoskovic, co zdarzało się bardzo rzadko, uciekali tam natychmiast, kryjąc się w gąszczach jak zające. Trzej z nich byli już w szkołach a mianowicie: Miecio, Antoś i Józio, dwaj zaś najmłodszy; Jaś i Staś chowali się jeszcze w domu.

Staś przyszedł do obiadu z okiem podbitym, co widząc ojciec, zapytał:

— Z kimże to już się biłeś, ty zawadyaku?

— To nic, proszę tatki, spadłem tylko z czereśni.

— Kiedyś jeszcze sobie kark skręcisz napewno — mruknął pan Wilczewski.

A zwracając się do Janki dodał z lekkim uśmiechem, który chwilowo rozjaśnił jego twarz pochmurną.

— Pewnie tam u was w Warszawie niema takiej tatarskiej hordy, jak ta?

Chłopcy uśmiechali się, widocznie bardzo zadowoleni z tej nazwy, nadanej im przez ojca.

Janka zauważyła, że ciotka w czasie obiadu nabierała każdej potrawy na talerz i mówiła do jednego z dzieci:

— Zanieś to babci!

A skoro jej zapytała o to, odrzekła:

— Jest to staruszka, daleka krewna mego męża, która mieszka w ofiynie, a że jest słabą i nie może przychodzić na obiad, więc jej się noszą potrawy do mieszkania. Przed wieczorem pójdziemy do niej razem, żeby cię poznała.

Skoro wszyscy wstali od stołu, Janka poszła natychmiast na górę i zajęła się układaniem rzeczy w szafie. Dawniej zwykle spełniała to służąca, ale tutaj dziewczyna usługująca była tak zajęta, że nie miała czasu, a zresztą Janka zabrała się do tej roboty z nudów, gdyż widziała, iż wszyscy w domu są zapracowani i nie mogą jej bawić. Wprawdzie niezbyt się o to gniewała, bo nie wiedziała sama o czemby mogła mówić z tymi dziczalnymi wieśniakami, jak nazywała w duchu rodzinę ciotki. Porozkładała więc na stoliku pudełeczka i flakony z perfumami, przywieszona z Warszawy, oraz różne inne ozdobne graciki jak: fotografie,

szkatułki i t. d. ale gdy skończyła porządkowanie, znów ją nudy ogarniać zaczęły. Z początku próbowała rozerwać się myślami o tem, co robią w tej chwili jej przyjaciółki warszawskie, ale to nie na długo jej wystarczyło, zeszła więc na dół.

Dwór był obszerny, ale w dość zaniedbanym stanie; widać było, że mieszkali tu ludzie, którzy bynajmniej się nie troszczyli o stronę estetyczną. Nieporządku wprawdzie nigdzie spostrzedz się nie dało, ale też żadnych, choćby najwykleszych ozdób nie było. Janka błądząc po domu nie spotkała żywego ducha, widocznie wszyscy byli w polu, w ogrodzie lub w lesie. Zaszła do salonu, widocznie rzadko kiedy otwieranego bo na meblach znajdowała się warstwa kurzu. W kącie pod oknem stał fortepian, na widok którego Janka krzyknęła z radości:

— Fortepian! Mój Boże, jakże się cieszę, przynajmniej będę mogła grywać na tej pustyni!

Natychmiast otworzyła instrument i wzięła kilka akordów. Fortepian choć stary, okazał się niezłym, i Janka była bardzo zadowolona ze swego odkrycia. Z pod jej palców popłynęły melodie Szopena i Moniuszki, gdyż muzyce oddawała się z zamiłowaniem i rzeczywiście grała ładnie. Powiedziała sobie, że odtąd będzie codziennie poświęcać kilka godzin muzyce i cieszyła się, że nikt jej nie będzie przeszkadzał ani podsłuchiwał.

Przy kolacyi wszyscy jakoś byli rozmowniejsi; pan Wilczewski opowiadał ile dziś objechał pola, Władek nawet parę razy coś się odezwał, lecz wszystko o przedmiotach dla Janki wcale nie zajmujących, więc też siedziała, z trudnością powstrzymując ziewanie, gdy nagle ciotka się odezwała:

— Kto to otworzył fortepian i tak go zostawił? Czy to wy, chłopcy?

— To ja ciociu — odrzekła Janka rumieniąc się — grałam trochę...

— Ależ to nic nie szkodzi — odparła szybko ciotka — możesz grać ile ci się podoba, tylko pamiętaj, Kochanko zawsze zamknąć później fortepian, bo nasze ukraińskie kurze okropnie wszystko niszczą...

— Więc Janka gra, a może i śpiewa także? — ozwał się pan Wilczewski.

— Trochę — odrzekła Janka.

— A będziesz nam śpiewała czasem wieczorami? — zapytał pan Wilczewski, któremu twarz się rozjaśniła.

— Proszę cię, Janeczko, zrób czasem tę przyjemność memu mężowi, on tak lubi muzykę, a zwłaszcza śpiew — rzekła ciotka.

Janka musiała przyrzec, że będzie śpiewała.

— Nie poszłam dziś z tobą do babci, bo musiałam dopilnować pielienia w ogrodzie — rzekła ciotka po chwili — ale jutro pójdziemy koniecznie, to bardzo zacna i miła staruszka.

(d. c. n.)

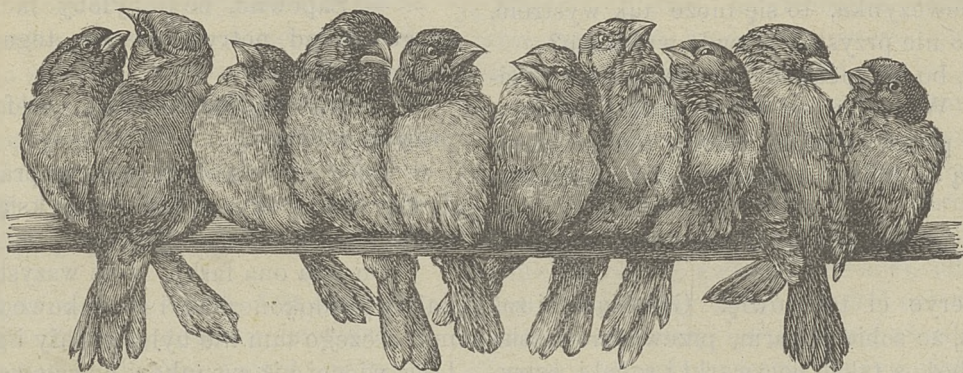
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Stara kołoda (z ryc.) — St. Kramszyk, Pod śniegiem i pod lodem. — Król migdałowy, opowiadanie z prawdziwego zdarzenia p. E. L. — Pałac Seldżuków (z ryc.) — Gordon Stables, Wyprawa do Grenlandyi i bieguna północnego przekład K. P. (z ryc.) — Marya Łopuszańska, Na pustyni. — Dodatek: Ptaszki pod stodolą, wiersz p. * * * — Pogadanka z wujaszkiem. — Spełnione postanowienie przez K. Ślósarską. — Bracia jaszczurkowie. — Łamigłówki. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

WIECZORY RODZINNE



PTASZKI POD STODOŁĄ.

Wieje wicher, mróz wciąż trzyma,
Śniegiem wszystko kryje zima.
Nasz głód i młocki dźwięk miły,
Tu nas do wioski zwabiły.
Macie tu zboża obfitość,
Rzućcie nam garstkę przez litość!
Byśmy wśród wichrów i chłodu,
Nie poginęły od głodu.

Ludzie nie ustając w pracy,
Rzekli: Zbliżcie się biedacy,
Dla nas garść ziarna to fraszka!
A grzech nie pożywić ptaszka,
Co ufny w litość człowieka,
Z rąk jego pomocy czeka.

POGADANKA Z WUJASZKIEM.

(Dokończenie).

— Otóż widzisz, ten dziób, twardy, rogowy, zastępujący ptakom zęby, różnego bywa kształtu i siły, i wedle tego też, jakie życie dany gatunek prowadzi. Tak samo rzecz się ma z ich nogami, co aby dobrze zrozumieć, przypatrz się dobrze nogom, a szczególnie palcom, choćby tylko naszych domowych kur i kaczek.

— Zaraz jutro, wujaszku, pójdę znowu na podwórko! Gospośia już mię zna i wie, że ptactwa płoszyć nie będę, to mi pewno pozwoli przypatrywać się mu ile tylko zechcę...

— Bardzo dobrze! Pożyteczną bowiem, a nawet konieczną jest rzeczą poznać dokładnie ten świat, który nas otacza...

— Wie wujaszek, ja zaczynam kurki bardzo lubić, one takie dobre muszą być mateczki, tak swoje dzieci zwołują i pod skrzydła chowają, żeby im ciepło było.

— Cwa czuła troskliwość dla drobnego potomstwa jest ogólną zaletą wszystkich ptaków, a nieobliczony trud i pracę ponoszą w tym celu szczególnie ptaki, żyjące na swobodzie, które muszą budować gniazda często z wielkim mozołem i znosić żywność dla licznej nieraz gromadki głodnych piskląt, o co wszakże drób domowy troszczyć się nie potrzebuje.

— Aha, to one dlatego tyle hałasu na podwórku robią, że niczem się nie zajmują. Jakaśmy się w domu zanadto rozbawili, to mamusia mówiła: Trzeba wam zajęcia jakiego, bo zbyt jesteście głośni! Gdyśmy wychodzili z kurnika, jeden kogut siedzący na płocie, zapiał przeraźliwie, i zaraz wszystkie inne odezwały się chórem, aż pytałem cioci, co im takiego się stało. I chociaż podobno zawsze są koguciki tak wrzaskliwe, podobają mi się bardzo. Takie ładne mają piórka i czerwone grzebienie! Gospośia mówiła, że to też kury, ale ja myślę, że chyba z jakiego szczególnego gatunku, bo wiele są strojniejsze od kwoczek, które prowadzą kurczęta.

— Głośno piejące koguty i dobre kury z tego samego nawet mogą pochodzić gniazda, tylko jest to szczególną właściwością ptasiego rodu, że samce mają barwniejsze i okazalsze upierzenie od samiczek, jak również głos ich bywa donośniejszy, a często nawet o wiele piękniejszy. Myślę, że zauważyłeś na podwórku nadętego indyka? Prawda, jak on wspaniale wygląda obok skromnej i niepozornej indyczki?

— Znam go, znam dobrze tego złośnika! Ciągłe się puszy, ogon rozpościera jak wachlarz i krzyczy: glu-glu-glu!

— Nie lubisz go, widzę, wolisz zapewne pawia, któremu nieraz sypiesz okruszynki na werendzie.

— Widzi wujaszek, paw też czasem brzydko krzyknie, ale się o byle co nie złości, a przytem jest prawdziwie śliczny, taki cały błyszczący, jakby modre jego piórka złotem były posypane; a jaki jego ogon wspaniały! Zosia mówiła, że jak dorośnie, poprosi swą mamę o taką samą sukienkę. Ona dziewczynka, to się może tak wystroić, ale nam chłopcom to nie przystoi, prawda wujaszku?

— Oczywiście, bo chłopców nie uroda, a rozum i siła zdobić powinny. Wracając jednak do naszego drobiu, co powiesz na to, że pocziwa kura, nadęty indyk i strojny paw, zaliczone są do jednej rodziny: *grzebiących* albo *kurawatych*.

— Czy naprawdę wujaszku, to wszystko mają być kurki?

— Zupełnie seryo ci to mówię. Grzebiącemi zaś nazwano je dla tego, że sobie pokarm, przeważnie rozsiarne ziarenka traw i zboż, a także poczwarki i robaki, ostrymi pazurkami wygrzebują z ziemi. Uważ tylko z jakim zamiłowaniem robi to nasza kura domowa, która może być zupełnie najedzoną, a jeszcze, gdy napotka garść słomy albo śmietnik, z pewnością na wszystkie rozrzuci je strony. Tę charakterystyczną cechę mają również piękne bażanty z wielką troskliwością dla smacznego mięsa u nas hodowane, oraz z tego samego względu cenione perliczki czyli pentarki.

— A dzikich kur, niema już wcale wujaszku?

— Owszem są, i to w licznych gatunkach. Czy przypominasz sobie owe stadko dość wielkich ptaszków, które Nero, idąc raz z nami na spacer, spłoszył nad drogą? Mówiłem ci wtenczas, że ptaki te nazywają się kuropatwy, i że, gdy je myśliwy zabije, doskonale z nich mamy pieczyste. Otóż są to też kury, i to takie, które żyjąc daleko, zimują w naszych stronach.

— Pamiętam, pamiętam dobrze! Było ich kilka, furknęły głośno, wznosząc się w powietrze, ale niedaleko znowu przysiadły na ziemi..

— Ale czemu proszę wujka, gdy jedno z tych kurek są tak strojne i wspaniałe, inne są skromne i niepozorne?

— Bo trzeba ci wiedzieć, że pawie, bażanty, indyki a nawet piękniejsze kury domowe, nie są tych okolic dawnymi mieszkańcami, lecz zostały przywiezione z ciepłych krajów, przeważnie z dalekich Indyi, gdzie pod gorącymi promieniami słońca w całej przyrodzie widne jest takie bogactwo barw wszelkich, jakiego u nas nie znajdzie nigdzie. Kwiaty o najżywszych kolorach, jaskrawe upierzenie ptactwa, świetniejsza barwa sierci zwierząt, ba, nawet najpiękniejsze drogie kamienie są wyłączną własnością południa.

— A czy strojne kury są również pożyteczne jak te najzwyczajniejsze? — dopytywał się Władzio.

— Ogólnie biorąc, mięso wszystkich grzebiących jest jadalne i smaczne, ale kura domowa więcej jeszcze w gospodarstwie jest cenioną, bo gdy ma wygodę znosi dużo jajek, które, że są dobrem i zdrowem pożywieniem, wiesz o tem najlepiej, zjadając je codziennie na śniadanie. Bez nich też nie umiałby kucharz przysposobić wielu potraw, ani upiec doskonałych bab i ciasteczek; wreszcie zawarte w jajku białko ma liczne w przemyśle zastosowanie.

M. D.

SPEŁNIONE POSTANOWIENIE.

— Od dzisiaj będę porządnie układała moje książki — mówi, okurzając starannie półkę, jedenastoletnia Hania — zobaczysz Stefo jak przyjemnie będzie spojrzeć na cały rząd ładnie utrzymanych tomów.

— Zapewne, że to byłoby ładnie, ale niestety niedługo ten ład potrwa, jestem tego pewna, moja ty porządna osóbkko.

— Nie bądźże złośliwą, Stefo, przekonasz się, że prawdę mówię.

Lecz smutną okazała się ta prawda; po kilku dniach dawny nieład zapanował wśród książek, bo Hania co innego miała teraz na myśli.

Dostała ona farby, więc wszystkie skrawki papieru, kajety niedokończone i rysunkowe zapełniała malowidłami, a czego tam nie było, kwiaty i głowy, ludzie i konie! Lecz więcej niż rysunków powstawało projektów w główce młodej artystki.

Muszę mamie na imieniny wymalować pudełko do rękawiczek, tatusiowi przycisk, Waciowi papier listowy przyozdobić, pannie Wańdzie talerzyk do szpilek i dalej jeszcze sypałyby się obietnice, gdyby nie ironiczny uśmiech Stefy i spojrzenie wymowne na półkę, gdzie w największym nieładzie widniały zniszczone i zakurzone książki.

Ale tym razem dłużej trwał zapał, już pudełko dla mamy było prawie na ukończeniu, gdy wtem nowa myśl zaświtała w główce Hani.

— Trzeba mi koniecznie zająć się Józją, niech sama sobie wyobrazi, ta dziewczyna czytać nie umie. Od dzisiaj zacznę ją uczyć, przez zimę doskonale się czytać wyuczy i na wiosnę zobaczę już ją w kościele modlącą się na książce. Dam jej jedną z moich, to dopiero będzie zadowolona!

— Haniu, zastanów się dobrze, czy masz czas na to — zauważyła matka.

Ale Hania żywo odparła: — O, już ja znajdę swobodną chwilę, zobaczy mamusia. Rzeczywiście, parę pierwszych lekcji odbyło się wzorowo, Józia zachwycona była swą nauczycielką, która ze swej strony widziała z radością pilność dziewczyny, ale powoli, powoli Hania zaniedbywać się poczęła i po dwóch tygodniach nauka się przerwała. Zapytana przez matkę o powód tej przerwy, Hania zarumieniła się, nie wiedząc co powiedzieć na swą obronę.

— Widzisz Haniu, jak to źle tak mało mieć wytrwałości, dopóki szkodziłaś tem sobie tylko, nie było to tak wielkiem przewinieniem, lecz w tym razie wyrządziłaś krzywdę Józji, dziewczyna ocenia już doniosłość straty jaką poniosła z tej przerwy i żal ma pewnie do ciebie.

— Prawda mamó — szepnęła Hania — ale ja nie mam odwagi dalej jej uczyć, to takie nudne.

— A od czegoż siła woli? przezycięż się córeczko raz, drugi, dziesiąty, a potem już łatwo ci pójdzie, zobaczysz.

Czy to łatwo poszło, nie wiem, ale od dziś Hania zawsze wypełnia swe postanowienie.

K. Ślósarska.

BRACIA JASZCZURKOWIE

(Dalszy ciąg).

Na dzień rowu zaszeleściło coś zlekka, trawa poruszyła się nieznacznie. Może to nieprzyjaciel czai się na mnie... pomyślała jaszczurka. Zwróciła głowę, podniosła się na nóżki, gotowa do ucieczki w razie niebezpieczeństwa. Któż opisze jej radość, gdy zamiast groźnego wroga, spostrzegła ukochaną przyjaciółkę... pocziwą ciocię żabę! Ale o zgrozo! Jakżeż ona wyglądała! Gdzie ta postawa pełna godności? Gdzie chód poważny, a wdzięczny? Kulejąc, stękając i sapiąc, wlokła się biedna ciotka pod górę.

— Ach ciociu droga, co ci się stało? Dla czego tak dawno nie byłaś u mnie? Zbiegnę do rowu, bo widzę, że ci bardzo jakoś ciężko, choć tu ślicznie i ciepło w mojej altance.

Z temi słowy, jaszczurka zbiegła chyżo i zwinnie na dół, naprzeciw cioci żaby i wpatrzyła się w nią ze zdumieniem.

— Ciociu... ciociu, zmiłuj się, powiedz co ci się stało?

— E... najgorsze już minęło dzięki Bogu — odpowiedziała żaba — już mi dziś jako tako, prawa noga jeszcze bezwładna, ale sypiam na liściach zatrwanu, to bardzo skuteczne lekarstwo.

— Powiedz-że mi ciotko, kto cię tak poturbował? Czyś się z kim pobiła?

Żaba spojrzała z urazą na jaszczurkę.

— Pobiła? Jak możesz przypuszczać nawet, abym ja, na mojem stanowiską, zapomniała się do tego stopnia! To kaczkki, niegodziwe, niktzemne ptaszyska, tak mi się dały we znaki. Przekradły się ze wsi przez owies, aż do naszego stawu i porwały mię znienucka, gdy właśnie w myślach zatopiona, siedziałam sobie nad brzegiem próbując nowej arii. Aż dwie się na mnie rzuciło... niegodziwe! Dwie, na mnie jedną; i zaczęły targać, szarpać, każda w swoją stronę. Jakim cudem zdołałam umknąć, jest mi do tej chwili zagadką. Calutki tydzień przeleżałam w gorączce, od wczoraj dopiero, czuję się trochę lepiej; a pierwsze moje wyjście, do ciebie, droga kuzynko.

— Ach ciociu! Ileż niebezpieczeństw nam grozi! na każdym kroku nas prześladowają!

— Tak to, tak bywało od początku świata i nie będzie inaczej.

— Któż może przewidzieć, jak długo jeszcze pożyję — ciągnęła dalej jaszczurka — gdy przed kilku dniami chłód wieczorny pograżył mnie w straszny stan pozornej śmierci, (twojego to głosu nasłuchując, droga przyjaciółko, zasiedziałam się na dworze do późna) poznałam, jak nędznem i słabem jest nasze życie i ogarnęła mnie niewysłowiona żałość. Nie myśl jednak ciociu, by mi o mój własny los chodziło! Jam smutna, opuszczona, co mi po życiu! Ale moje biedne dzieci... jaka przyszłość je czeka!

— Twoje dzieci? — spytała żaba ze współczuciem.

— Gdyby mnie śmierć zabrała, zanim te drogie istotki ujrzą blask wszechgrzejącego słońca, gdyby... o ciociu kochana, zajmij się sierotami. Polecam je twojej

opiece dopóki nie podrosną i same sobie nie dadzą rady na świecie.

Ciocia żaba uściśnięła czule łapkę jaszczurki, a ta mówiła dalej:

— Tam na górze, gdzie rośnie ten buk stary, spostrzeżesz gruby korzeń wystający nad powierzchnię ziemi. Odmierzywszy jak najskrupulatniej dwadzieścia razy jej długość od pnia, wygrzebałam dołek pod korzeniem i włożyłam weń raniuchno cztery jajka. Zanim słońce weszło, przysypałam je zlekka ziemią; żadne wrogie oko nie zdoła odkryć gdzie je schowałam. Słońce świeci w tem miejscu długie godziny, ogrzewa swemi promieniami jajeczka, i budzi je do życia. Gdy przyjdzie czas, synowie moi przebiją słabą osłonę, utworzą sobie drogę ku światłu, a zdumione ich oczka, ujrzą poraz pierwszy promienie tej cudnej gwiazdy dziennej, od której najwyższe dobro i najcięższy ból, od której całe nasze istnienie zawisło. Ale niestety, od tej samej chwili grozić im zaczną okropne niebezpieczeństwa, na życie ich czyhać będą nieprzyjaciele, a najsroższy z wrogów... straszno pomyśleć... będzie ich własny, ojciec.

— Tak to, tak bywa... — chciała odpowiedzieć żaba, ale jaszczurka przerwała jej, wołając:

— Niestety! Niestety! Co za smutna igraszka natury! Nie wiesz może ciotko, że ojcowie-jaszczurki, pozerają zazwyczaj swoje dzieci, jeszcze w niemowlęctwie; a gdy sobie wspomnę, jak łakomym i żarłocznym jest mój mąż, najczarniejsze trapią mię przecucia. Kto te niewinne dzieciątka ostrzeże, kto je nauczy roztropności, kto niemi pokieruje, jak mnie na świecie nie stanie!

Zmózona bólem jaszczurka, oparła głowę na ramieniu żaby i szlochała żałośnie.

— Bądź dobrej myśli — mówiła pocziwa ciotka, głaszcząc ją po pyszczku, bądź dobrej myśli; żyjesz jeszcze Bogu dzięki; smutek przeminie, wszystko będzie dobrze, tylko odwagi!

Jaszczurka pokiwała główką.

— Tak mi się coś roi po głowie, że nigdy nie zobaczę moich dzieci, ale ty, droga ciociu, będziesz ich troskliwą opiekunką, nieprawdaż? Powiedz im jakie imiona, pragnęłam dać moim synom. Z pierwszego, największego jajka, wylęgnie się najstarszy; ten ma się nazywać Mocobój. Drugie jajko wysmukłe, podłużne, z niego wylęgnie się zręczne, zwinne stworzonko, niech się zwie Chyżomir; z trzeciego wyjdzie ociężały trochę i krępy Grubosław. Czwarte jajeczko... to kolebka mojej najmłodszej dziecińcy; drobne to, słabe i delikatne, choć by miał imię Kłopotek, na pamiątkę ciężkich utrapień i zgryzot moich. Tego najmłodszego, polecam najusilniej twe-mu sercu. Może zechcesz pójść ze mną, pokaże ci miejsce gdzie złożyłam najdroższe moje nadzieje.

— Kiedyindziej, kiedyindziej — odpowiedziała żaba. — Ciężko mi się wspinać, pagórek stromy szkaradnie, a co najważniejsza, godzina koncertu się zbliża. Trzeba spróbować, jak to będzie ze śpiewaniem; piersi mam zgniecione, płuca zbolałe. Bóg raczy wiedzieć czy jeszcze w życiu uchwycą kiedy wysokie C! Już wczoraj próbowałam nadaremnie; przy wyższych tonach głos mi się łamie. Ot, każdy ma swoje strapienia, droga przyjaciółko!

Ale, ale, radzę ci, pij rosę z kwiatów gencyany, to odświeża umysł i wzmacnia nerwy.

Z temi słowy, powlokła się ciocia żaba kulejąc w stronę bagniska; jaszczurka również udała się z powrotem do domu, ale długo, długo usnąć nie mogła.

Księżyc wypłynął na niebo, nad łąkami stała się mgła bieluchna, żaden listek nie ruszał się na drzewach, cicha, tajemnicza noc letnia, okryła ziemię. Na bagnisku tylko kumkały żaby, jakby chciały powiedzieć, że one jedne czuwają wśród ogólnego snu natury. Od czasu do czasu dolatywał uszu jaszczurki chrapliwy głos cioci żaby: darmo... o wysokiem C, nie mogło być jeszcze mowy.

W tę to ciepłą noc letnią, zaczęło się coś ruszać pod korzeniem starego buku. Przyszedł czas przebudzenia dla braci jaszczurków. Ciasno im było... wreszcie pękły skorupki a maleńkie stworzonka dziwną za czemś nieznanem parte tęsknotą, zaczęły grzebać ziemię przednimi łapkami i piąć się mozolnie ku górze. Ciężka to była praca, ale Mocobój — najstarszy, przełamał wszystkie zapory i pierwszy wyjrzał na powierzchnię ziemi. Tuż za nim wybiegł Chyzomir; w dobrą chwilę wygramolił się Grubosław, a na samym ostatku wyscibił główkę Kłopotek. Drobny był i delikatny, najmniejszy ze wszystkich braci, ale ruchliwy i wesoły.

Zmęczeni pracą i zdumieni nowem a nieznanem otoczeniem, leżeli braciszczkowie przytuleni do siebie, tuż obok jamki z której wyleźli. Żaden z nich nie śmiał się ruszyć, oczka ich tylko świeciły odblaskiem zorzy porannej, która zaczynała różowieć już na wschodzie. Ach, jakże otwierali te oczęta szeroko! Jak się wpatrywali w ognistą lunę rodzącego się dnia!

(d. c. n.)

S Z A R A D A.

przez E. M.

Pierwszych odwrotnie w sieci zliczymy tysiące;
Pierwsze z drugim w podróży pędzą wirujące;
Pierwsze z trzeciem, zwierzę, figlarz to, lecz nie zbyt szczerzy;
Trzecich używa, kto chce przenieść w nich papiery;
Nie przypinaj zaś *drugich i trzecich* nikomu;
Razem owadu imię, dość znanego w domu,
Z rodzaju tęgoskrzydłych, z grupy pięciostawnych,
Który żłobi otwory wązkie w sprzętach dawnych,
Wierci je czasem nawskroś w starej z drzewa ścianie,
Wydając szmer, jak ciągle zegarka stukanie.

LOGOGRYF GEOGRAFICZNY.

ułożył Saryusz.

Z następujących sylab utworzyć 14 wyrazów, których początkowe i końcowe litery złożą imiona i nazwiska dwóch słynnych poetów. Sylaby: Je—auck—nau—kirch—o—chi—ho—ro—ar—nan—o—wro—sku—kró—ir—na—land—plia—holm—świe—li—dziec—chan—ga—claw—ta—le—tysz—cim—sa—ki—den—sse—le—wiec—gielsk—ri.

Znaczenie wyrazów: 1) Miasto pamiętne bitwą w ro-

ku 1806. 2) Miasto na Nowej Zelandyi. 3) Twierdza n. za-
toką Argolidzką. 4) Miasteczko na prawym brzegu Dźwi-
ny. 5) Miasto w Galicyi, niegdyś stolica udzielnego księ-
stwa. 6) Rzeczpospolita w Ameryce. 7) Miasto w gub.
Grodz. nad kanałem królewskim. 8) Miasto n. ujściem
Dźwiny północ. 9) Miasto w Japonii. 10) Miasto na wyspie
Fionii. 11) Miasto na Szląsku. 12) Miasto w Azji Mniej-
szej. 13) Miasto nad Preglem. 14) Dopływ rzeki Ob.

Skrzynka do listów.

Wróżbiarka szczęścia zmartwiła nas bardzo swoim liścikiem, sercem całem dzielimy jej smutek z niezdrovia matki, dzięki jednak Bogu, że jest już lepiej. Z niecierpliwością oczekiwac będziemy obiecanego listu i dalszych wiadomości, które mamy nadzieję będą już zupełnie pomyslnie. Za życzenia, za miłe serdeczne wyrazy dziękujemy tobie, droga *Wróżbiarko*, życząc nawzajem, by ci dobrze losy wywróżyły cały szereg dni i lat szczęśliwych, byś sama szczęśliwa, dużo szczęścia roztaczała w około siebie. Powiastka jeszcze nie przejrzana, nawał zajęć noworocznych dużo nam czasu pochłania, w następnym numerze damy odpowiedź.

Trudnoby nam było zapomnieć o kimś, który zwykł przypominać się w tak miły sposób, jak *Murzynka*. Za życzenia wraz z *Jaskółką* dziękujemy, jak również za ciepłą sukienkę i ładne kajety dla biednych dzieci. Prosimy też bardzo o doniesienie, czy święta przeszły tak wesoło, jak się zapowiadały, i czy *Gwiazdka* przyniosła dużo pięknych rzeczy?

Maryli i Janeczce R. za ofiarę dla biednej sierotki, dzieciom *M. G. Sw.*, za dar dla zakładu kalek św. Stanisława Kostki, serdeczne Bóg zapłać zasylamy. Miło nam odbierać ze wszech stron liściki z darami i ofiarami dla biednej dziatwy, a miło podwójnie, bo i biednych jest czem wspomódz i przekonać się możemy o dobrych serduszkach naszych kochanych czytelników, którzy pojmują, że radość dzielona z uboższymi, podwójną dla nas samych staje się radością.

Dobre rozwiązanie łamigłówek i zadania konikowego nadesłał nam *Motyl, Kotek, Struch, Ea...* *Włudek Skrodz.*

Zagadkę sylabową *Kubusia E.* odłożyliśmy do przejrzania.

Oj, *Perliczko*, — to dlatego, żeby mnie się nie naprzykrzać, milczałaś tak długo! Chyba ty nigdy nie czytujesz moich odpowiedzi, bo inaczej wiedziałabyś, z jaką radością witam wszystkie odezwy miłych korespondentów. Przyznaj się, że może ty sama leniwa jesteś do pióra i dlatego pisujesz tak rzadko. Otóż życzę ci z nowym rokiem, byś się poprawiła i częściej obdarzała mnie swojemi liścikami, na które przyrzekam spieszyć z odpowiedzią. Żądane numera już są posłane pod wskazanym adresem.

Gałązce bzu także bez zwłoki wysłaliśmy brakujące *Wieczory*. Wiem sama, jak to nieprzyjemnie, gdy numer zaginie i trzeba czekać na dalszy ciąg rozpoczętego czytania.

Zadanie konikowe *Lucia K.* oddałam do uznania Redakcyi. Miło mi jest bardzo, że o mnie nie zapominasz i obdarzasz częstemi liścikami, tylko dlaczego dobrowolnie psujesz sobie pismo, wiem, że możesz pisać bardzo ładnie, ale przez pośpiech zapewne nie zawsze na to zwracasz uwagę; radzę ci bardzo, byś się zawsze starał porządnie pisać. Nie gniewaj się za tę małą uwagę na życzliwą ci:

Jaskółkę.